



Koncert Narodowej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia w Katowicach podczas tegorocznej Warszawskiej Jesieni

Zabawa kolegów zamiast święta melomanów

FESTIWAL Warszawska Jesień odwraca się od najnowszej awangardy

Michał Mendyk
krytyk muzyczny

Renesans Warszawskiej Jesieni z przełomu stuleci należy do historii. Zakończona w sobotę 51. edycja kulturowej imprezy pokazała jej największe słabości – rozmyty wizerunek, hermetyczny profil oraz bezradność wobec rosnącej konkurencji.

Miłośnicy szeroko pojętej awangardy muzycznej mają dziś do wyboru krakowskie Sacrum Profanum – festiwal z gwiazdorską obsadą i rekordowym jak na polskie realia budżetem; eksperymentalno-undergroundową Musica Genera w Szczecinie oraz cały wachlarz alternatyw o oficjalnym lub bardziej klubowym charakterze. Warszawska Jesień pozostaje bezkonkurencyjna, jeśli chodzi o repertuarową odkrywczość oraz odporność na krótkotrwałe mody, które rządzą awangardowym światkiem w nie mniejszym stopniu niż popkultura. Pod tym względem tegoroczna – iberoamerykańska – edycja festiwalu okazała się strzałem w dziesiątkę. W Warszawie rozbrzmiewała – często po raz pierwszy – muzyka Hiszpana Hectora Parry, Argentyńczyków Gracieli Paraskevaidis i Alejandro Vinalo czy Ekwadorczyka Mesiasa Miguashki. Twórcy ci, choć od lat święcą sukcesy na opiniotwórczych zachodnioeuropejskich imprezach, w Polsce znani są słabo nawet wśród wytrawnych koneserów.

Tym większe było rozczarowanie, gdy iberoamerykański „cud mniemany” okazał się prowincjonalnym odbłaskiem sztuczek opatentowanych w Niemczech, Francji, Wło-

Jedną piątą repertuaru stanowiły utwory członków Związku Kompozytorów Polskich, głównego organizatora festiwalu

zech oraz USA – krajach pozostających od półwiecza epicentrami awangardowego fermentu. Wysłuchaliśmy więc mniej lub bardziej udanych wprawek z paryskiego neoimpresjonizmu, germańskiego sonoryzmu czy anglosaskiego minimalizmu. W dosyć monochromatycznej panoramie wyróżniali się twórcy zainspirowani barwnymi korzeniami swego kręgu kulturowego. Niestety najczęściej wychodziła z tego tania indiańska cepeliada, którą para się od lat argentyński kompozytor szaman Alejandro Iglesias Rossi, bądź tyłeż grzeczna ileż niespójna world-music, jak we flamencopodobnych dziełach Maurizio Sotelo. O tym, iż etniczne eksperymenty niekoniecznie prowadzą ku egzotycznemu banalowi, przekonał Hiszpan Jose Maria Sanchez-Verdu. Jego muzyka to na wskroś nowoczesna próba ożywienia wczesnośredniowiecznego fenomenu multikulturowej Iberii, tyle że oparta na pogłębianych historycznych oraz folklorystycznych studiach, a nie pustym zapożyczeniu czy stylizacji. Najlepszym przykładem – zamykająca festiwal kompozycja „Macqubara”, w której głos muezzina (w tej roli guru muzyki dawnej Marcel Peres) wpisany został organicznie w

wysmakowaną tkankę orkiestrową oraz archaizująca, rytualną narrację.

Sanchez-Verdu to jednak prawdziwy rodzynek w cieście. Większość olśnień tegoroczного festiwalu zawdzięczamy bowiem nieżyjącym już klasykom awangardy – Olivierowi Messiaenowi, Karlheinzowi Stockhausenowi, Luciano Berio czy Maurizio Kagelowi. Czyżby potencjał twórców wybitnych lub przynajmniej wizjonerskich wyczerpał się gdzieś w połowie lat 60.? A może jednak to Warszawska Jesień zatraciła dar wylawiania prawdziwych muzycznych perełek... Nie ułatwia tego na pewno środowiskowa ekskluzywność festiwalu, który promuje modernistycznych akademików spod znaku Leoncjusza Ciuciury, ignorując niemal całkowicie współczesną awangardę elektroniczną oraz multimedialną. Umiarkowanym orędownikiem bardziej eksperymentalnie zorientowanych projektów pozostaje dyrektor Warszawskiej Jesieni Tadeusz Wielecki. W tym roku zainicjował on wraz z klarownicistą Michałem Górczyńskim bezprecedensowe spotkanie nowoczesnego ansamblu kameralnego z hip-hopowymi beatboxerami. Ostateczny efekt tegoż budził wątpliwości – tyleż ze względu na jakość kompozycji, ileż na kondycję wykonawczą zespołu Kwartludium. Sama idea okazała się jednak bardzo świeża i pozostawiła duże nadzieje na przyszłość.

Można niestety powątpiewać, czy w kolejnych latach wystarczy czasu i miejsca na tak odważne przedsięwzięcia. W praktyce o wiele

ważniejsze okazują się bowiem towarzyskie zobowiązania. Program iberoamerykańskiej Warszawskiej Jesieni wypełniły w 20 proc. utwory członków Związku Kompozytorów Polskich (głównego organizatora festiwalu). Niewiele z nich wyszło spod pióra młodych talentów, jak Cezary Duchnowski, Paweł Hendrich, Dobromiła Jaskot czy Jagoda Szmytka; częściej mieliśmy przyjemność obcowania z dosyć miernymi dokonaniami zasłużonych dla środowiska nestorów.

Przyszłość Warszawskiej Jesieni – imprezy rozdartej między zaspokajaniem ambicji działaczy ZKP, ochroną środowiskowego status quo, odkrywaniem nowych fenomenów oraz pozyskiwaniem dla muzyki współczesnej młodych słuchaczy – nie przedstawia się w różowych barwach. Za pesymistyczną prognozą przemawia również polityka urzędu miasta, który promować woli imprezy drogie i wystawne, lecz pozbawione szczególnych walorów artystycznych (vide: Festiwal Wielkanocny Beethovena), przegrywając tym samym walkę o rząd dusz z takimi ośrodkami jak Kraków czy Wrocław. Chyba dlatego zamiast interesującej opery „Die Feinde” Mesiasa Miguashki obejrzelśmy spektakl „La Celda”, czyli jej zubożoną, odtwarzaną z taśmy i najzwyczajniej w świecie nużącą wersję. Bez radykalnych zmian organizacyjno-politycznych jedna z najznakomitszych marek współczesnej kultury polskiej stać się może w najbliższych dziesięcioleciach marką historyczną.